



FRYDERYK M. SMITH.

ZAIRA

(Romans kryminalny marokański).

ROZDZIAŁ I.

Z pośród szaro srebrnych chmur wypłyneło słońce i swemi jaskrawymi promieniami obrzuciło miasto Tanger, którego białe pomalowane, wznoszące się amfiteatralnie, domy, rozbityszy i roziskrzyły się, jak świeżo spadły, wilgotny śnieg na stokach górskich; gdzieś tylko wystrzelały ku niebu błękitne, smukłe minarety meczetów. Wnet też pierwsze zwiastuny rozpoczynającego się dnia, zwinne jaskółki poczęły z głośnym świergotem zataczać kręgi nad niskimi, płaskimi dachami. Zbudzeni ze snu mieszkańcy ukazywali się na ulicach i na dachach domów; na placach otwierano sklepy i kramy, w których kupcy porządkowali i rozkładali nagromadzone i przygotowane do sprzedaży towary; murzyni spieszyli do studni z dzbanami po wodę, a szeregi wysoko objuzonych osłów, postępowały długą ulicą, wiodącą z głównego placu w Tanger do Soko¹⁾.

Jeden tylko dom, położony w ubocznej, spokojnej dzielnicy miasta, stanowił wyjątek wśród budzącego się życia; nie można tam było dojrzeć żadnej żywej istoty ani zauważyć jakiegokolwiek ruchu. Był to dom zbudowany w zwykłym maurytańskim stylu; jego gładka, pozbawiona okien ściana zewnętrzna, przytykała do wąskiej uliczki i posiadała tylko małe, zielono pomalowane drzwi, których jedyną ozdobę stanowiły gęsto nabijane, o szerokich łbach brązowych gwoździe, oraz ciężki metalowy młot, kunsztownie na sposób arabski rzeźbiony. Drzwi te prowadziły do długiej, wąskiej sieni, z której wchodzi się na podwórze położone wewnątrz domu; podwórze to okolonie jest filarami, połączonymi u góry łukami i galerją, dachem krytą, biegnącą dokoła pierwszego piętra. Z czterech stron podwórza znajdują się pokoje mieszkalne, a w jednym rogu schody prowadzące na galerję i dach. Jakkolwiek na zewnątrz dom ten ma wygląd czysto maurytański, wewnątrz jego wskazuje nawyknięcia europejskie, obok szerokich otoman wschodnich widzi się łóżka europejskie, a choć drzwi zasłonięte są, arabskiego pochodzenia zasłonami i dywanami, stoły i krzesła wychodzą niewątpliwie z pracowni hiszpańskich rękodzielników. W małym pokoiku na pierwszym piętrze spoczywa na łóżku mężczyzna. Na pierwszy rzut oka możnaby sądzić że trapią go złe sny, ręce jego są szeroko rozłożone, nogi podkurczone przyciśnięte do ciała, a twarz nieruchomo wpatrzona w sufit. Człowiek ten nie śpi jednak — długa, straszna rana przecina jego gardło, a krew obficie brocząc załala poduszki i prześcieradła, obryzgała mu twarz i brodę. Wielka mucha zbudzona światłem dziennym lata brzęcząc po pokoju i w końcu opuszcza się na łóżko. Zresztą w całym domu nie słyhać żadnego poruszenia, gdyż nieżywy mężczyzna i brzęcząca mucha są jedyymi jego mieszkańcami.

Słońce podnosi się coraz wyżej i hałas uliczny wzrasta się stopniowo; słyhać szczerzenie psów, beczenie osłów; na dachach pojawiają się postacie kobiece, zbliżają się ku sobie i rozpoczynają pogawędkę i wymianę codziennych ploteczek. Z pobliskiego meczetu rozlega się donośny głos muezzina, który drżącymi, gardlanymi dźwiękami wzywa wiernych do porannej modlitwy.

Po pewnym czasie dwóch mężczyzn staje u zielonych drzwiczek samotnego domu. Jeden jest niskiego wzrostu, krępy, z czarnym, rzadkim zarostem, widocznie europejczyk, pomimo iż od stóp do głów ubrany jest po maurytańsku; drugi ma wygląd dziwaczny, ubrany w szerokie, bufiaste spodnie i krótką kurtkę znową na ramiona zarzucił biały burnus, głowę zaś owinał turbanem. Cała jego postać, siwe wąsy i broda, ciemna wysuszona skóra, każą się

domyślać francuza, osiadłego od dłuższego czasu w Marokko. Przedewszystkiem jednak zwraca uwagę jego lewe oko, zezujące i obracające się na wszystkie strony, co nadaje jego twarzy nieprzyjemny, niemal odrażający wyraz.

Obaj mężczyźni przeszli przez podwórze i weszli na schody.

— Bompard śpi dziś długo — zauważył krępy, nasłuchując, czy go nie dojdzie jakiś szmer na górę.

— Zawsze było z niego leniwe bydle — odparł jego towarzysz o szklanem oku — i teraz kiedy powinien być najbardziej czujny i czynny — śpi!

— Nie lubisz go Savary, wiem o tem. Nie przeszkadza to jednak, że jest on człowiekiem dzielny i odważny, którego nie odstrasza żadne niebezpieczeństwo.

— Dlaczego miałbym go nie lubić? — bronił się Savary. — Wiem dobrze, iż potrafi pokierować doskonale każdą sprawą i posiada niezwykłą odwagę, gdy chodzi o przeprowadzenie trudnej lub niebezpiecznej sprawy, to też uległem mu zawsze i we wszystkim.

Rozmawiając weszli na galerję, a człowiek o szklanem oku uchylił zasłonę, wiszącą u drzwi.

— Śpi jeszcze — mruknął do towarzysza, — posuwając się na palcach w półciemnym pokoju i rozglądając się z lekceważącym uśmiechem.

Wnet jednak uśmiech znikł, a na usta wybiegło przekleństwo.

— Que diable! — wykrzyknął, — co to ma znaczyć?

Jego towarzysz przybliżył się szybko i obaj stanęli przy łóżku. W milczeniu rozglądali się trwożliwie dookoła i nasłuchiwali z zapartym oddechem, jakby w obawie że i oni lada chwila mogą być napadnięci. Po chwili mały człowiek pobiegł do naprzeciw położonych drzwi i zajrzał do przyległego pokoju, nic tam jednak widocznie podejrzanego niedojrzał.

Gdy powrócił na dawne miejsce, człowiek o szklanem oku pokazał mu nóż, podniesiony przy łóżku, otarł go, i podał towarzyszowi. Ten wpatrzył się weń i gwizdnął zcicha.

— Jego własny nóż — wyrzekł — czy sądzisz, iż popełnił samobójstwo?

Zamiast odpowiedzi Savary pochylił się nad trupem i zaczął bez ceremonji przeszukiwać jego kieszenie. Poszukiwania swoje prowadził z wielką gorliwością i dokładnością, unosił poduszki, podnosił w górę prześcieradła, w końcu nawet przewrócił martwe zwłoki. Robiło to wrażenie jak gdyby poszukiwał chciwie jakiegoś przedmiotu, którego znaleźć nie może. Nakoniec odwrócił się i znów rzucił przekleństwo.

— Przepadły! — dodał.

Człowiek z czarnym zarostem podszedł do łóżka, podniósł obie ręce nieboszczyka i począł bacznie oglądać palce.

— I pierścien! — również — od razu pomyślałem, że tu nie może być mowy o samobójstwie — powiedział.

— Jego zegarka i pieniędzy też niema.

— Czy wczoraj wieczorem byliście razem?

— Naturalnie. Byliśmy razem w kawiarni i omawialiśmy szczegóły naszej jutrzejszej podróży. Pożegnałem go o północy u drzwi jego domu.

— Najwidoczniej miał tu miejsce rabunek, połączony z morderstwem.

— A listy, a pierścien? Po co zabierano by listy, gdyby chodziło tylko o rabunek. Jest o wiele prawdopodobniejszem, iż szpiegdy sułtana zwrócili na niego uwagę i oczekiwali tu jego powrotu.

— A na cóżby się przydał sułtanowi zegarek Bompard'a? Wysłannicy sułtana byliby zabrali tylko listy i pierścien, a gdyby Bompard był wzbudził ich podejrzenia, to byliby tu czatowali i na nas. A może oni są tu jeszcze — dodał trwożliwie i położył rękę na rękojeści rewolweru rozglądając się z zapartym oddechem dookoła, jakby w oczekiwaniu czegoś strasznego.

— Nie sądzę — odparł Savary. A jednak cała ta historia jest bardzo tajemnicza.

— W każdym razie musimy się upewnić — zaopiniował mały, krępy człowiek i bez straty czasu począł z rewolwerem w rękę przeszukiwać cały dom.

Savary postępował tuż za nim. Przepatrywali jeden pokój za drugim, wyszli nawet na dach, ale oprócz w sypialnym pokoju gdzie spoczywał nieboszczyk, nigdzie śladów gwałtu nie zauważyli.

— No i cóż? — zagadnął w końcu Savary.

— Jak już mówiłem, sądzę, iż jest to morderstwo dla rabunku. Być może, iż złoczyńca był zwykłym włamywaczem, którego Bompard przyłapał na gorącym uczynku i który go zamordował, aby sobie ułatwić ucieczkę.

— Nie przypuszczam... ale może i masz słusność.

— Jeżeli to była zwykła kradzież, to może będzie można jeszcze odzyskać listy, tylko ludzie sułtana mogli wiedzieć o co właściwie idzie. Czy nie dałoby się odkryć jakich śladów?

— Obawiam się, że nie. Przetrasnąłem już dokładnie każdy kątek i nie znalazłem żadnego przedmiotu, któryby nie był miejscowy. W każdym razie musimy się dobrze nad położeniem zastanowić.

— Tak, ale możeby było lepiej uczynić to gdzie indziej, a nie tu. Cała ta historia nie podoba mi się, a morderca mógłby lada chwila powrócić.

Savary wzuszył ramionami.

— Jesteś zdenerwowany kochany Dupre; nic nam jednak nie przeszkadza dom ten opuścić i zająć się, aby nieboszczyk został przyzwoicie pochowany.

— Biedny Bompard. Dobry był z niego towarzysz.

— Bezwątpienia, byłto dzielny chłopiec, ale złą chwilę wybrał aby się wynieść z tego świata... Wszystkie nasze plany wzięły w łeb; o ile nie doręczymy listów, nie otrzymamy pieniędzy, a ja ich teraz właśnie diabło potrzebuję. Doprawdy mamy strasznego pecha.

— O ile wiem, nigdy was z nieboszczykiem nie łączyły bardzo przyjazne stosunki. Ale często w nieszcześciu bywa i szczęście. Przynajmniej teraz nie będziesz miał rywala przy Zairze.

Savary, nakrywając martwe zwłoki kołdrą, wrzucił ponownie ramionami.

— Doprawdy nigdy się tem zbytnio nie kłopotalem — rzucił niedbale. W tej chwili dałbym chętnie tysiąc franków, żeby mój się dowiedzieć w czymże posiadaniu znajduje się obecnie pierścien. Chodźmy do jakiej kawiarni, tam zastanowimy się nad całym wypadkiem. Może mi wpadnie do głowy jaki dobry pomysł i zdecydujemy co nam dalej robić należy.

ROZDZIAŁ II.

Na pokładzie wspaniałego parowca, obwożącego po morzu Śródziemnem w celach turystycznych parę setek Amerykanów, panna Eliza Dexter była bez zaprzeczenia jedną z najmilszych i najbardziej otoczonych pasażerek. Panna Dexter była jedną z tych Amerykanek przystojnych, szykownych, starannie wychowanych i wykształconych, które zawsze robią silne wrażenie na sercach męzkich. Ale z pomiędzy wszystkich jej wielbicieli jeden tylko mógłby poszczycić się pewnym wyróżnieniem. Był nim malarz, nazwiskiem Borroughs. Zanim dopłynęli do Gibraltaru potrafił on już stać się jej sąsiadem przy stole. Borroughs w niczem nie przypominał owego typu artysty przygarbionego, z zapadłą piersią, wątłego i bladego, z rozwidrzoną czupryną i brodą, w postrzępionych mankietach i fantastycznym krawacie, jaki się tak często spodkąd daje w Quartier Latin w Paryżu. Przeciwnie, przedstawiał on raczej artystę nowoczesnego: wysoki, wysmukły, gładko ogolony, bardzo dbały o swą powierzchowność, obdarzony znaczną siłą fizyczną, wyrobioną wszelkiego rodzaju sportami, którym się oddawał gorliwie od wczesnej młodości. Dzielny i śmiały jeździec, doskonały szermierz, przepędził nadto dwie zimy w Paryżu, wskutek czego władał poprawnie języ-

¹⁾ Największy plac targowy w Tangerze.